

WIECZORY RODZANNE,

CIASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



PIRAMIDA MEJDUN.

Piramida, przedstawiona na rysunku, nie jest tak olbrzymia i okazała, jak sławne piramidy w Gizeh, o których opowiadaliśmy już dawniej

ce, którą historycy obliczają mniej więcej na 4,000 lat przed naszą erą.

Nazwa Piramidy Mejdun pochodzi od wioski tego nazwiska, zasianej zwaliskami, wśród których najlepiej się ta piramida zachowała. Wioska ta leży na południe od Kairu, na sześć kilometrów



Piramida Mejdun.

w Pisemku naszym. Jednakże zasługuje na uwagę, gdyż, według zdania uczonych, sięga niezmiernie starożytności i ma być grobem króla Seneferu z trzeciej dynastji. Każdy, kto ma jakiegokolwiek pojęcie o historii starożytnego Egiptu, wie dobrze, że ta trzecia dynastia panowała w Memfisie w epo-

od zachodniego brzegu Nilu. Oprócz piramidy, która jest zapewne grobowcem królewskim, znaleziono tam mnóstwo innych grobów, z tych samych starożytnych czasów trzeciej dynastji pochodzących.

WDZIĘCZNOŚĆ.

przez **Gabryelę Puzyrinę.**

Co to jest wdzięczność? uczucie, nie słowa —
To — co się w duszy głęboko odzywa;
Ten, co nie wiedział, jak brzmi ludzka mowa,
Pamięcią serca tę cnotę nazywa *).

* * *

Wdzięcznością nie są przysługi wzajemne,
Przez nie się tylko życzliwość obudzi...
Wdzięczność prawdziwa ma drogi tajemne,
Lecz nie od wszystkich dostrzeżone ludzi!

* * *

Jeśli po jakim pocziwym uczynku,
Jałmużnie z serca — której nikt nie głosi,
Nikt ani dzięku, ani upominku,
Ani pokłonu tobie nie przynosi —
To znak, że wdzięczność poszła dalej... wyżej!
Że już pod świętą zostaje opieką —
I wówczas ona bywa nas najbliżej,
Gdy nam się zdaje — że bardzo daleko!

* * *

A nieraz, kiedy modląc się z pokorą,
Uczujesz w duszy jakiś spokój błogi...
I nie wiesz, z kąd się te natchnienia biorą?
To ci przez Niebo — dziękuje ubogi!...

* * *

A gdzież te czasy pokoju, prostoty,
Kiedy „Bóg zapłać!” wymówione z wiarą,
Najmilszą było nagrodą dla cnoty,
Najświętszą było ubogich ofiarą?!...

GWIAZDKA WĘGIERSKA.

POWIEŚĆ

z czasów rycerskich

przez

M..a

(Dalszy ciąg).

Pierwszego dnia na ogromnej przestrzeni, zastęp rycerzy zdobywał wielki zamek, umyślnie na ten cel naprędce wystawiony, a broniony zapalczywie przez inny zastęp rycerski. Goście przypatrywali

się tej zabawie bojowej, siedząc na bogato przystrójonych i umyślnie zbudowanych krążgankach. Gdy już zamek zdobyto, zburzywszy go, i gdy zwycięzcy powiedli niby w niewolę zwyciężonych, wtedy ze zgłiszcz i gruzów zamku owego poczęły wychodzić różne dzikie i nieznane potwory, które chciały się rzucać na gości i były przyczyną wielkiego strachu, zakończonego wielką ucieką. Z tłumu, przypatrującego się tym igrzyskom, wypadli dzielni ludzie, i ci walczyli z temi potworami, jakby w obronie gości, a zwalczwszy je, zmusili następnie do bawienia gości przeróżnymi dziwnymi sztukami. Ci ludzie i te potwory byli to kuglarze i sztukmistrze ze swemi wyuczonymi zwierzętami.

Drugiego dnia były turnieje, przy których dla uczczenia księcia Hermana wybrano na królową turnieju jego posłanniczkę, piękną i zającą, a szlachetnie urodzoną panią Bertę z Beindeliben, aby jako królowa wieńczyła zwycięzkiego w tych zapasach rycerza. Trzeciego dnia popisywali się węgierscy poeci. Co dzień miała miejsce wielka uczta, a w przerwach pomiędzy zabawami trwały bezustannie muzyka i tańce.

Czwartego dnia dopiero przybyło poselstwo turyngskie, już w podróżnych strojach i z gotowym do podróży orszakiem, na zamek węgierskiego Króla, i pożegnano króla i królową, prosząc raz jeszcze o małą królewnę, aby ją mogli sobie zabrać na księżną i panią. Poszła tedy królowa węgierska Gertruda w głąb komnat swoich i wyniosła z nich na rękach córeczkę swą, czteroletnią Elżbietkę, ubraną w suknie z białej jedwabnej grubiej materyi, zabaftowanej złotemi kwiatami gęsto, jeden tuż przy drugim, a każdy z tych kwiatów złotych był wysoki na grubość wielkiego palca, a w pośrodku każdego z tych kwiatów tkwił drogocenny kamień, brylant, turkus, rubin, onyks, szmaragd, granat, topaz i inne. Iskrzył się strój królewny od drogocennych stubarwnych blasków, ale najcudniej iskrzyły się jej czarne oczy, niby dyamenty czarne, a i włosy miała czarne, jak krukowe pióra, w pukle z natury się układające, rysy odznaczające się nadzwyczajną pięknnością, usteczka do świeżej maliny, płeć do blad ej róży podobną. Za królową szły panie jej dworskie, dźwigając zwykłą dziecienną kolebkę, ale ze szczerego złota ukutą. Rodzice uściskali córeczkę, poczem król Andrzej wziął ją z rąk królowej Gertrudy, położył dziecinę w złotej kołysce, i tak ją z kolebką posłowi głównemu, to jest panu de Varilla oddając, powiedział do niego te słowa:

— Polecam twojej rycerskiej opiece, najwyższą moję na ziemi pocięchę.

Królowa Gertruda także ze łzami poleciła dzie-

*) Porównanie głucho-niemego.

cię pani Bercie. Pan de Varilla zaś odpowiedział królowi:

— Będę się nią opiekował, i na zawsze ję wiernym zostanę.

Książę Herman znał się na ludziach, i posyłając pana de Varilla po swą synową, wiedział kogo posyłał, bo czas pokazał, że rycerskie to słowo było święte. Oddano bogate klejnoty i różne dary posłom, jako posag królowny, i inne także bogate podarki ofiarowali królestwo węgierscy dla samychże posłów. Nadto królowa Gertruda włożyła córeczce w kołyskę tysiąc marek srebra i obiecała podwoić tę sumę, jeżeli ję Bóg dłuższego życia użyczy. Historycy współcześni opisali szczegółowo te posagowe bogactwa królowny węgierskiej, dodając, że nic równie wspaniałego i pięknego nie widziano do owych czasów w Niemczech i w Turynii. W chwili, gdy posłowie już mieli zabierać królownę, rozwarła się boczna komnata i pojawiło się trzysta panienek dziesięcioletnich w bieli. Były to córeczki węgierskich magnatów, które otoczyły małeńką królownę swoją, jako dwór ję honorowy, towarzysząc ję na obcą ziemię, która miała się stać dla nię drugą ziemią rodzinną. Wtedy dopiero zabrali posłowie swą przyszłą panią wraz z ję dworem i przyjechawszy dwoma powozami, odjechali trzynastu.

W podróży nie zaszło nic ważnego, tylko pani Berta prawie rozum traciła co chwila z podziwu nad rozumem i dobrocią powierzonej ję niewieściej opiece dzieciny. Zaraz z początku zdziwiło panią Bertę i ję towarzyszy to szczególniej, że przy wielkim upale i utrudzeniu podróżnym mała królowna nie poprosiła ani razu o chłodny przygotowany dla nię napój, ani też zażądała posiłku, co przecież często takim małym dzieciom bywa pożądanem. Złękli się tedy posłowie, czy chorą nie jest dziewczka, że ochoty do jedzenia ani do picia nie czuje, i zaczęli ją troskliwie pytać i do jedzenia namawiać. Wtedy zdziwili się jeszcze bardziej i ucieszyli, gdy dziecko podane mu pokarmy i napój zaczęło pożywać z wielką uciechą. Więc pani Berta zapytała królewskiej dzieciny:

— Ukochana królowno Elżbieto, powiedzże nam, prosimy, dla czego nie zażądałaś jedzenia i napoju, skoro byłaś głodna, a bardziej może jeszcze spragniona?

A Elżbietka odrzekła uprzejmie:

— Dla miłości Bożej, proszę pani.

Posłowie osłupieli na taką czteroletnią dzieciny odpowiedź. Ale wkrótce musieli przestać się dziwić, bo im się i podziwu przebrało, tak częste mieli do niego powody. Przypomniawszy sobie tedy wszystko, co jeszcze w Turynii o dziecięciu tém im mówiono, wspomnieli także, iż cała rodzi-

na królewska węgierska była niepospolitą, gdyż posiadała kilka niewiast nadzwyczajnych cnót, uznanych za święte. Pomyśleli więc posłowie, że i królowna Elżbieta jest także nadzwyczajnem jakimś dziecięciem i dziwić się przestali, obchodząc się z nią tylko ze zdwojonym uszanowaniem, jakby nie z dzieckiem wcale..

Taka sława poprzedzała to nadzwyczajne dziecko, że gdy gońcy, wzdłuż drogi porozstawiani umyślnie, galopem wpadając na zamek wartburgski, donieśli, że królowna węgierska szczęśliwie drogę przebywszy, zbliża się już do Eisenach, księstwo turyngscy wraz z małym Ludwikiem padli na kolana, dziękując za to Bogu. Potem co prędzej pojechali do Eisenach, na przyjęcie małej podróżnej. Spółczesna historia świadczy, że dzień ten był świętem radości dla całego kraju. Świetne przyjęcie spotykało Elżbietę prawie co krok na ję nowej ziemi, nareszcie zaprowadzono całą drużynę do wspaniale ozdobionego hotelu Hellgrefa, gdzie mieszkał przed czterema laty mędrzec Klingsohr, przepowiadający z ujzanej „gwiazdki” narodzenie królownej i ję przeznaczenie na małżonkę księcia Ludwika. Przepowiednia ta stała się już powszechnie wiadomą i powszechnie tak lud, jak i otaczający królownę, zwali ją: „Gwiazdką węgierską“.

W hotelu Hellgrefa landgraf Herman wziął na ręce tę świetną gwiazdkę, a przyciskając ją do serca, z ojcowską miłością dziękował za nią Bogu. Potem oddawszy ją księżnie Zofii, powrócił sam do Wartburga, gdzie choć wszystko było gotowe, i mieszkanie i przyjęcie wspaniałe, przecież on chciał jeszcze raz to obejrzeć i przyjęciu przewodniczyć. Księżna Zofia przez całą noc nie rozstała się ani na chwilę z nową swą córeczką. Naza jutrz rano, ubrawszy ją sama świetnie w jeden z ję bogatych nad wszelki opis strojów węgierskich, z wielką wspaniałością w licznym orszaku zawiozła ją w złocistym powozie, ośmiu białemi, łagodnymi jak owieczki konikami zaprzężonym, na zamek Wartburgski. Tam przed bramą stał już na pysznym koniu książę Herman, otoczony najszlachetniejszymi panami całego kraju, lud niezliczonemi tłumami drogę i okolice zapełniał, muzyka grała na wszystkie strony i strzelano na wiat aż grzmiało. Zaniósł książę dziewczątko do komnat paradnych zamkowych, mówiąc do otaczających radośnie, a Elżbietę podnosząc w rękach:

— Pójdźcie ucieszyć się ze mną, a oglądajcie to dziecię, którym obdarzył mię Bóg i król węgierski.

Tymczasem w zamkowej kaplicy i we wszystkich kościołach w Eisenach i w okolicy odprawiało się wielkie nabożeństwo. I zaniósł książę Elżbietę do kaplicy, a księżna Zofia wiodła za

rękę synka swego Ludwika, a grono najzacieńszych pań i najpotężniejszych panów ich otaczało. Wśród nabożeństwa biskup poświęcił bogate pierścienie i uroczyście, w obec nieba i ziemi, i wszystkich świadków, zaręczył księżę Herman Elżbietę z Ludwikiem, a włożywszy jęj pierścień zaręczynowy, uczyniony jak dla dorosłej niewiasty, zaraz przyłożył go księżę drugim sztucznie zrobionym, maleńkim a grubym, który ściśle był przypasowany, aby dużemu zaręczynowemu spaść nie pozwolił z maleńkiego paluszka czteroletniej dzieciny. Ten drugi pierścień zmieniać następnie miano kilka razy na coraz większy, w miarę wzrostu Gwiazdki węgierskiej i jęj paluszka. I nakazał księżę od tęj chwili Elżbiecie i Ludwikowi nazywać się wzajem siostrą i bratem, i zapowiedział im, że gdy dorosną, wtedy poślubieni sobie będą i panować mają z Wartburgskiego zamku ludom swoim, jak dotąd on sam, księżę Herman, z małżonką swą Zofią panował.

Po tych zaręczynach nastąpiły znów zwyczajem wieku długie i wspaniałe zabawy, tańce, uczy, turnieje, muzyki i pcezye, wedle zwyczajów na dworze turyngskim przyjętych. W czasie turniejów na pierwszym miejscu, na księżęcym krużganku, siedziała Gwiazdka węgierska na kolanach drugiej swęj matki, księżnej Zofii. Oboje księstwo lękali się posadzić samę czteroletnią dziecinkę na wysokiem wzniesieniu, aby nie spadła w uniesieniu radosném, gdy klaszcząc w rączki wychylała się na dół do pięknych koni, które jako prawdziwa Węgierka niezmiernie lubiła i doskonale znała, bo do turniejów już była przywykłą, zachwycając się walecznością, jakby dorosła owoczesna niewiasta. Jednakże posłyszawszy o nich, zapytała księżnej, czy nie będzie rannych? Pytanie było tak dziwne, jakby nie od rycerskiej owoczesnej dziewczeczki pochodzące; zatem nowa matka zażądała objaśnienia od mało znajomęj sobie jeszcze córeczki, dla czego zadaje tak dziwne pytanie, skoro wiadomo jest każdemu, że przy najsurowszych nawet zastrzeżeniach, przecież zawsze na turniejach muszą być ranni, a częstokroć nawet i zabici rycerze bywają.

I otóż z odpowiedzi dziewczynki królewskiej dziwne pokazały się rzeczy, a mianowicie, że król Andrzej, umyślnie do upodobań jęj się stosując, wyprawiał już nieraz dla jęj uciechy jakieś udane tylko, to jest niekrwawe turnieje, w których rycerze prawdziwi na pysznych rumakach walczyli, jakby jacy giermkowie bezkrwawo i ostrożnie, na cześć maleńkiej królowny, lubiącej bardzo takie tylko turnieje. Jeżeli zaś „mieli być ranni”, jak się wyrażała Elżbieta, to jest, jeżeli król Andrzej zwykle wyprawiał rycerskie gonitwy, wtedy Elżbie-

ta wypraszała się już od tego widoku z własnej ochoty, i z pozwolenia ojca szła z jedną ze swych ciotek i kilku innemi paniami do namiotu, przygotowanego do tego w pobliżu szranek, aby opatrywać tam rannych rycerzy. Słuchając takich objaśnień, księżna turyngska wpadała ze zdumienia w zdumienie, poznawszy, że jęj dziwna nowa córeczka miała naprawdę jakby jakieś upodobanie w opatrywaniu i leczeniu ran... i wspomniała księżna opowieść owego zakonnika, którego z ślepoty jakoby wyleczyła królowna dotknięciem...

A tymczasem mały Ludwik, obecny tęj rozmowie, już pobiegł opowiedzieć ją ojcu, dziwną zanosząc prośbę, aby na turnieju, albo nie było rannych, albo też, aby ojciec pozwolił ukochanęj siostrzyczce Elżbiecie, nie na krużganku, na pierwszym miejscu się znajdować, lecz w przygotowanym dla rannych namiocie, ku ich opatrywaniu. Księżę Herman natychmiast kazał wolę maleńkiej królowny przez heroldów przy dźwięku trąb ogłosić, i ku wielkiej jęj uciezce znalazło się kilku rycerzy tak grzecznych dla czteroletniej pani, jak to zresztą obowiązkiem było każdego rycerza, a przytęm tak bardzo pewnych swęj zręczności, że podjęli się walczyć z tym niesłychanym dotąd warunkiem przez nią podanym: aby ran nie było.

Klaskała więc radośnie w rączki uszczęśliwiona Elżbieta i przypatrywała się walce zręczności, siedząc na kolanach księżnej; a najmłodszy paziowie, z księciem Ludwikiem na czele, świetnie przystrojeni, otaczali ją, gotowi na każde skinienie, jak zwyczajnie paziowie dla swęj pani, podając to napój chłodzący, to kwiatek lub klejnocik jaki upuszczony, lub rękawiczkę czy chusteczkę, przyklękając przytęm po rycersku na jedno kolano, zwyczajnie jak paziowie przed swą panią. Potęm nastąpiły nieuniknione tańce, i tu pokazało się, że Gwiazdka węgierska, przy całej swęj niepospolitości, przecięm znów jak prawdziwa Węgierka, nie tylko bardzo lubiła, ale nawet już umiała tańczyć uczenie. To też księżę Ludwik i kilku najwyższych szlachetnym rodem paziów, którym pozwolono tańczyć z królowną, prawie zmysły tracili z zachwytu, a starsi goście, dworzanie i cała rodzina, zapomnieli sami o tańcach, przypatrując się cudnej Gwiazdce, gdy rozbujawszy się przy dźwiękach ochoczęj muzyki, tańczyła z braciszkiem Ludwikiem tego starego, jak same Węgry i ochoczego jak one czardasza, którego Ludwik umyślnie dla swęj siostrzyczki się wyuczył, ale o którym niemieccy goście ani pojęcia nie mieli.

(D. c. n.).

GAWĘDY PODSŁUCHANE U WIŚLANÉJ FALI

przez M. . . a.

II.

Sandomierska mieszcza:

Nad samym brzegiem Wisły wznoszą się na wyniosłym wzgórzu potężne a stare mury Sandomierza. Jest to gród bardzo starożytny, są ślady, że istniał jeszcze w czasach przedchrześcijańskich. W skutek podziału Polski pomiędzy synów Krzywoustego, Sandomierz został stolicą udzielnego Księstwa. Palony był i burzony przez napastliwego ks. Romana Halickiego, a w roku 1241 nowy popłoch padł na znękane miasto. Od kilku już lat poprzednio krążyły wieści niepewne, lecz tém straszniejsze, o zbliżaniu się ku Polsce od wschodu okropnego dzikiego tłumu, który zwano Mongołami lub Tatarami. Na prawdę nie był to nawet jeden lud, ale chmary różnych plemion. Mongołowie albowiem mieli taki zwyczaj, że z każdego zwyciężonego ludu zabierali młodzież i wcielali ją w swoje własne wojenne szeregi, a prowadzili w bój na pierwszy ogień przed własnymi chmarami. Przez to właśnie byli oni tak niezmiernie liczni i potężni. Gniazdo ich było daleko, w głębi wschodniej Azji. Szli zaś powodowani i wiedzeni fanatyzmem, paląc, burząc i mordując co napotkali. Zapowiadali, że zburzą świat cały od wschodu do zachodu, gdyż powiedziano jest, iżby na niebie był tylko jeden Bóg, a na ziemi jeden tylko Chan (Król). Z takimi zamiarami przebiegali ziemię.

Straszne wieści, okrutny popłoch, poprzedzały ich wszędzie. W Polsce z roku na rok zapowiadano to najście, sądzono nawet, że Mongołowie byli ludożercami. Zbliżyli się też istotnie w okropnym pochodzie swoim, aż roku 1241 dotarli na Ukrainę, zburzyli Kijów i wpadli wreszcie do Małopolski. Byli to istotnie okropni ludzie. Twarze mieli śniade, szerokie, spłaszczone, oczy maleńkie, odziani byli w kozuchy i kołpaki wywrócone włosem do góry, każdy był uzbrojony w kilka łuków i kilka pełnych sajdków, w topór do rozbijania wrót i zamków, nahajkę, pęki sznurów do pętania jeńców mieli przytroczone do siodła. Siedzieli na konikach małych lecz zwinnych.

Głównym celem, do którego dążyli w tej sprawie Mongołowie, były Węgry. Przez Polskę przechodzili tylko, burząc ją mimochodem a spiesząc do Węgier, słynących z bogactw swoich. Napastników poprzedziło poselstwo, które wysłali do króla węgierskiego Beli z rozkazem, aby, jeśli chce zachować życie i koronę, uderzył czołem przed

W. Chanem. To jest ażeby się Tatarom oddał w poddaństwo wraz ze swym narodem. Król Bela odmówił, a to zdwoiło okrucieństwo dziczy i jej pośpiech. Rozpuścili tedy Tatarzy swoje zagony, z których jednemu wypadła droga właśnie na Sandomierz.

Trzeba wiedzieć, że Tatarzy takiego się trzymali zwyczaju w swoim pochodzie: nigdy nie szli razem wielką chmarą, gdyż trudnoby im było wtedy o żywność, a gdyby ich spotkała porażka, toby już odrazu była bardzo wielka dla nich klęska. Otóż w tym razie tak sobie radzili Tatarzy, że rozdzielali całą swoją potęgę ogromną na kilka oddziałów, nad każdym ustanawiali wodzem jednego wielkiego *bohadora* *) i naznaczali, to jest wielki chan naznaczał tym swoim bohadrom pewien punkt odległy zborny, w którym koniecznie oni wszyscy ze swemi oddziałami w dniu oznaczonym mieli się znowu złączyć. Z takim poleceniem rozchodzili się tedy wielcy bohadrowie ze swemi oddziałami z przed oblicza w. chana. Uszedłszy kawałek drogi, każdy taki wódz bohadir stawał, wyprawiał ucztę swoim podwładnym, i na tej uczcie znowu tak samo, jak w. chan, rozdzielał swój oddział na kilka części, nad każdą częścią ustanawiał wodza i tym wodzom znowu oznaczał punkt zborny daleko bliższy niż ten, który jemu samemu był przez w. chana naznaczony. Jeżeli główny punkt przez w. chana naznaczony był bardzo odległy, to i te drugorzędne oddziały rozdzielały się na pomniejszych jeszcze. Takim sposobem Tatarzy napadali z niezmierną szybkością jednocześnie prawie na kraj cały, opasując go i przyczynając po tysiąc razy. Pokrywali oni ten kraj swemi chmarami, jak ptasznik siatką wróble nakrywa. A pojedyncze te oddziały i oddzialiki, wypuszczane z głównych obozów, kręto a szybko przecinające kraje, zwały się „zagonami”. „Gromady główne zebrane w wyznaczonych punktach zwały się „koszami”. Poza całą główną tą czeredą wlokła się jeszcze nieprzeliczona ilość koni, po kilka na każdego Tatara, wozów skrzypiących, naładowanych ciężarami, wielbłądów z namiotami, i różnemi wojennymi przyborami. Skrzyp, ryk, wrzask, jęk, a wszystko to oświecone luną pożarną było tak straszne, że wydało się patrzącym na to, jakby koniec świata nadchodził.

Tak zalawczy i opanowawszy prawie cały świat pogański owoczesny, wpadli Mongołowie na kraje chrześcijańskie. Cały ów świat pogański im uległ,

*) *Bohadir*, bohater, wojownik doświadczony i nieustraszony. Na skutek długowiecznych wojen z Tatarami, a z tej racji niewoli u nich, i niewolników ich bardzo licznych i do dzisiaj zamieszkałych w Polsce, bardzo wiele wprawdę tatarskich wnięszło się w dawną mowę polską.

a chrześcijańska Polska pierwszy dopiero opór stawiała, pobudzona do walki religijną myślą obrońcy swój wiary. Sciągnawszy ile można było wojska do Sandomierza, król młody, Bolesław, od dwóch lat zaledwo żonaty z królową węgierską Kunegundą, postanowił bronić swój ziemi. Wraz z bratem stryjeicznym Bolesławem, synem Konrada, stanawszy na czele hufców, wyruszył król z Sandomierza i śpieszył wdłuż brzegów Wisły ku Lublinowi. Według ostatnich pogłosek, tam skierowali się Tatarzy, ztamtąd dochodziły już jęki mordowanego ludu. Tam postanowił król bronić dzikim najeźdźcom przejścia przez Wisłę. Ciągnąc żwawo, spotykając się po drodze z coraz straszniejszymi wieściami, wojsko polskie dopadło wkrótce okolic Lublina i stanęło, przerażone i zdziwione zarazem. Zniszczenie okrutne siół i miast było powodem przerażenia, ale można się było także i zadziwić, gdyż nigdzie tu nie było widać nieprzyjaciela. Tatarzy znikli. Krew i zgłiszczą tylko świadczyły o ich bytności. W wyludnionej nagle okolicy trudno było dostać języka *). Dopiero rozpuszczone naokoło podjazdy wywieździały się i doniosły, że Tatarzy gwałtownie i nagle cofnęli się ku granicom Rusi.

— Uciekli! ani chybi, tylko dowiedzieli się, że nadciągają hufce polskie, i uciekli przed nami! — taki poszedł głos pośród wojska. Wówczas, przy tém pierwszym zetknięciu z Tatarstwem, nie znano jeszcze jego podstępów, sztuczek i chytróści, nie domyślano się, że Tatar najczęściej wtedy właśnie się cofa, kiedy ma zamiar wyskoczyć zniecka. Zatem z wielką ochotą puszczono się w po-goń za mniemanymi uciekającymi. I po części nie mylono się nawet. Tatarski zagon, który spustoszył okolice Lublina, uciekał istotnie co mu sił starczyło, pędząc przed sobą tłumy jeńców, ale uciekał on dla tego, aby tę zdobycz i inne zabezpieczyć sobie w ruskich zamkach, które już pochwylił. A tymczasem inny zagon tatarski, wypuszczony pomiędzy Lublin i Sandomierz, napadł na wojsko polskie i zniósł je do szczytu. Obaj młodzi książęta pierzchnęli i wojsko poszło w rozsypkę, nie mogąc nawet pojąć, jakim to się stało sposobem.

Przyczyną tego była niezmierna wyższość zdobywcy Tatarów w wojenném rzemiośle nad Polakami, rycerskimi lecz spokojnymi, którzy tylko bronić swój ziemi umieli lub walczyć zacie, po rycersku, ale o podstępach i chytróści w celach zdobywcy nie mieli wyobrażenia. Polacy wówczas tak samo, jak inni chrześcijanie, walczyli po rycersku, pięścią o pięść z nieprzyjacielem, jakby

w pojedynku, a wodzowie, książęta i królowie, szli na czele wojska, bijąc się, jak każdy inny wojak i narażając bardziej jeszcze. A otóż wcale inaczej było u Tatarów. U nich zwyciężało nie męstwo osobiste, lecz taktyka wojenna, rozum, podstęp. Wwódz czy król, to jest ich chan lub bohadir, nigdy nie walczył sam w tłumie, lecz stał z daleka na wzgórzu, lub jechał bezpieczny i z odległości tém lepiej kierował ruchami swego wojska.

Po raz to pierwszy wówczas ujrzeli Polacy to, co następnie nazwano „tańcem tatarskim“ a co właśnie zgubiło przy tém pierwszym spotkaniu wojsko polskie. Była to taktyka tatarska, zależąca na tém, że oddział tatarski, zamiast iść w szyku, jak chrześcijanie, rozprasał się nagle przed nieprzyjacielem na wszystkie strony, otaczał go ruchomym jakby pierścieniem, i szarpał na raz ze wszystkich stron, kręcąc się przytém i ciągle w kółko tak chyżo, że i rozum i wzrok miewał się napadniętym i przez to z łatwością pokonać się dawali. Bitew zaś porządnych prawdziwych nigdy nie przedsiębrali Tatarzy, i nawet w tych utarczkach cząstkowych nie wstydzili się wcale ucieczki, gdy tylko ujrzeli przewagę najmniejszą przeciwnika.

Takie to właściwe Tatarom kręcenie się w kółko na chyżych konikach oszołomiło Polaków zaraz przy tém pierwszym spotkaniu. Król Bolesław, pochwyliwszy tylko żonę Kunegundę, i matkę Grzymisławę z Sandomierza, schronił się z niemi do Krakowa, a tłuszcza tatarska napadła całą chmarą na nieszczęsny Sandomierz. Było to krwawej pamięci dnia 12 Lutego 1241 roku w Popielec. Napad był tak nagły, że zastał kościoły pełne ludu. Ogień zniszczył miasto. Lud co słabszy wymordował Tatar bez litości, silniejszych po-pędził w jasyr.

Wraz z innymi szła spętana drogą ku Skarbimierzowi młoda jedna niewiasta, Andrzejowa, mieszcanka z Sandomierza. Tatar wywlókl ją z kościoła, rozdzielając z mężem i trzema sorymi synkami. Teraz oddział, przeznaczony do pilnowania niewolnika, postępował z nim ku Skarbimierzowi. Nie śpieszył jednak, czekał tylko, aby zagon wyprawiony naprzód, złupiwszy i tę część kraju, cofnął się zwykłym obyczajem, zabierając z sobą i tych już pochwyconych jeńców, złączywszy się z prowadzącym ich oddziałem. Idąc tak, nieraz Andrzejowej zdarzało się widzieć walkę pojedynczych gospodarzy Polaków z tatarstwem, napadającym po drodze ich ciche siedziby, i roztropna niewiasta, mimo łez i rozpachy swojej, dostrzegła, że w takich bójkach Tatar zawsze uciekał, ilekroć zrozpaczony Polak rzucał się wprost na niego. Wprawdzie Tatar niechybnie powracał

*) Dostać wiadomości, wyrażenie wojenne.

natychmiast, przybrawszy sobie kilku towarzyszków, i Polak zawsze upadał pod przewagą liczby, ale niemniej Tatar wprzód uciekał.

To spostrzeżenie Andrzejowej było tém samém właśnie, jakie dużo później uczynili najznakomitsi polscy mężowie i wtedy dopiero szczęśliwie zwyciężali Tatarów. W istocie Tatar, oszczędzając się bardzo, nie lubiał się narażać, i dla tego napadał tylko, ale sam napastowany uciekał; wprawdzie po chwili wracał znowu silniejszy, ale zawsze napadał podstępnie i z nagłą, aby uciec, porwawszy co można. Ten ważny rys charakteru tatarstwa spostrzegłszy, odważna niewiasta zamiast jęczeć bezsilnie, jak wszyscy, postanowiła ratować siebie i swoich. Bo domyślała się, że jej rodzina, jeśli żyje, musi się znajdować w tejże co i ona gromadzie ogromnej, z całej okolicy spędzonej.

Andrzejowa słyszała właśnie, idąc na Popielec, że we wsi Kalinie odbywał się sejmik szlachecki, pod przewodnictwem wojewody Włodzimierza, radzący nad środkami obrony kraju. Powiedziała tedy idącym za nią, że jeżeli potrafią przeciąć pęta, któremi była związana ze starą jakąś towarzyszką, to ona sama potrafi wszystkich wyratować. Przeciąć pęt, wiążących z tyłu ręce niewolników jednych z drugimi, nie było czém, brakło też i rąk wolnych do tego, ale rozpacz dodała sił, odwagi i zręczności. Nieszczęśliwi wraz z zapadającym zmierzchem poczęli gryźć te pęta, gdy pilnujący Tatarzy nie mogli tego dojrzeć w gestej gromadzie. Gryźli, jak szczury, łamali zęby na twardych powrozach, ale około północy przegryźli i uwolnili Andrzejową od związania z towarzyszką. Kobieta, upatrzawszy chwilę spoczynku, gdy Tatarzy zdawali się spoczywać, przesunęła się pomiędzy nimi jak cień. Mimo pozornego spoczynku, spostrzeżono ucieczkę jej natychmiast, zrobił się gwałt straszny, niewolnicy sądzeni, że Andrzejowa już schwytaną została napowrót, a jednak ona uszła wśród krzyku i bieganiny tatarskiej. Znała bo też oczywiście drogę i jej przesmyki daleko lepij od najezdzców.

Wydstawszy się z pomiędzy oddziału pilnującego niewolników, poczęła biedz, nie jak człowiek, lecz jak zwierzę jakie szybkonogie; trwoga i nadzieja dodawały jej sił. Zdarzyło się też przypadkiem bardzo naturalnym, że napotkała jakiegoś konia, pozbawionego pana i bującego samopas, chwyciła go, wgramoliła się na niego i trzymając się grzywy zębami nieledwie, pędziła jak szalona. Po drodze przeraziła się niepomału, gdy ujrzała zdaleka ów zagon tatarski, wracający już

ze Skarbimierza z nową jeńców gromadą, dla złączenia ich z tą, z której Andrzejowa uciekła. Opانونa ciągle jedną myślą, ścigana płomieniami podpalanych na wszystkie strony wiosek, kobieta z rozczochranym włosiem, odrapana, poraniona ocieraniem się o drzewa i krzaki przydrożne, z obłędem w oczach, wpadła nareszcie w koło szlacheckie, radzące pod Kaliną. Koń spędzony padł i nie powstał więcej. Kobieta zeskoczyła, krzycząc:

— Tatarzy wracają od Skarbimierza ku Wielkiemu-Tursku! wpadnijcie na nich zniecka, a zwyciężycie!

Piana krwawa okrywała jej usta. Sądzone, że była szaloną. Ale dla tego właśnie słowa jej sprawiły wrażenie. Bo dla szalonych miano dawniej pewne uszanowanie, przypisując im moc odgadywania przyszłości. Do dzisiaj jeszcze w niektórych okolicach istnieje ten zabobon wśród ludu. Szlachta już wprzód naradzała się nad tém, czy nie będzie najwłaściwiej napaść na najezdniców obciążonych już łupami, które im obronę utrudniały. Teraz słowa mniemaniej szalonej zdecydowały szlachtę. Bez dłuższego namysłu dosiedli wszyscy koni i pognali ku Wielkiemu-Tursku, wiosce leżącej pomiędzy Połańcem a Osiekiem.

Jakoż tam właśnie spoczywali Tatarzy, gdy podniecone słowami Andrzejowej szyki szlacheckie wpadły na nich. Po raz to pierwszy w ich zwyciężkim dotąd pochodzie napastowano ich, zamiast bronić się tylko; szalony sposób walki bez taktyki żadnej, nie znany Tatarom, równie jak ten pierwszy bój zaczepny, przeraził ich. Spostrzeżenie Andrzejowej nie było płonne. Zanim Tatarzy zebrali zmysły, już padła ich na placu taka wielka ilość, że porażka ta pozostała dla nich wieczną pamiątką. Zapisano jest nawet w głębi Azji w rocznikach chińskich o wielkiej stracie, jaką Mongołowie ponieśli nad Wisłą pod *Tullisseko* (Turskiem)*).

Opamiętawszy się, resztki tego tatarskiego zagonu po swojemu pierzchnęły i powróciły natychmiast, wzmocniwszy się nowym zagonem, ale tymczasem liczni niewolnicy już złączonych oddziałów zdążyli uciec i ukryć się w lasach. Po przejściu nawały tatarskiej, roztropna Andrzejowa odnalazła męża i synów, których ocaliła od popędzenia w daleki jasyr.

*) Szajnocha.

KOLEŻANKI.

KOMEDYJKA W DWÓCH AKTACH,

przez Maryą Grabowską.

OSOBY.

NAUCZYCIELKA.

MARYNIA.

HELENKA.

KAZIA.

ZOSIA.

JÓZIA.

Uczennice.

Rzecz dzieje się na pensyi.

(Scena przedstawia duży pokój, na boku stół, przy którym Kazia pisze, na nim książki. Po drugiej stronie sceny Zosia uczy się z książką w rękę, Marynia robi robotkę. Po środku pokoju Józia z Helenką bawią się w piłkę).

SCENA I.

KAZIA, JÓZIA, MARYNIA, ZOSIA I HELENKA.

HELENKA (*do Józii, z którą bawi się w piłkę.*)

Mój Józiu, coś okropnego, jak ty dziś niezgrabnie rzucasz tą piłką; choć raz rzuć nią tak przecie, bym ją złapać mogła.

JÓZIA (*wesoło.*)

Postaram się rzucić dobrze, ale też jak rzucę, to trafię... trafię... (*zamierza się, by uderzyć w twarz Helenki*) w sam nosok panny Heleny. (*Helenka usuwa się, Józia rzuca piłką i trafia w pisaćą Kazię.*)

ZOSIA (*która odwróciwszy się od książki, przypatrywała się temu, śmiejąc się.*)

Cha, cha, cha, zamiast Helence, dostało się pracowitej Kazi, cha, cha, cha... (*Helenka i Józia podbiegają do Kazi, która wstaje oburzona, mówiąc:*)

KAZIA.

Całe wypracowanie na nic przez was, drugi raz muszę je teraz przepisywać, patrzcie, jakiego kleksa usadziłam (*pokazuje kajet z ogromną plamą atramentu.*)

HELENKA.

Wielka rzecz, że je drugi raz przepisziesz, ciekawam nawet, co byś robiła, gdybyś nie siedziała nad temi książkami?

KAZIA.

Muszę siedzieć nad książką, bo mi nauka nie przychodzi z taką łatwością, jak np. Zosi.

JÓZIA.

I Helence.

HELENKA (*z dumą.*)

Naturalnie, wiem o tém, że mi nauka z łatwo-

ścią przychodzi, nie potrzebuję siedzieć nad książką, i tak wszystko umiem.

ZOSIA (*n. s.*).

Tak, niby umiem, bo wszystko po wierzchu.

KAZIA (*podchodząc do Maryni.*)

Maryniu, zmiłuj się, przepisz mi to ćwiczenie, egzamin jutro, a ja mam jeszcze połowę historii polskiej przeczytać!

MARYNIA (*Najskromniej ze wszystkich ubrana, składa robotę.*)

I owszem, ja nie mam nic do roboty (*siedzi przy stole i pisze, Kazia, chodząc z książką, uczy się.*)

JÓZIA.

Widzisz, Kaziu, pocziwa Marynia wyratowała cię z kłopotu, nie gniewaj się więc na nas; a my, Helenko, dalej, bawimy się teraz w piłkę; Zosiu, chodź i ty bawić się z nami.

ZOSIA.

Jak najchętniej. (*Józia i Zosia otaczają Helenkę, która rzuca piłkę o ścianę, zgrabnie ją łapie, Zosia liczy:* Raz, dwa, trzy...

SCENA II.

Też. NAUCZYCIELKA.

(*Panienci przestają się bawić, Kaziu składa książkę, Marynia wstaje od pisania.*)

NAUCZYCIELKA.

Panny bawią się zamiast uczyć, ślicznie, niema co mówić; jutro egzamin, zobaczymy, jak się powiedzie.

HELENKA.

Jam przygotowana, umiem wszystko doskonale, mogą pracować te, co nic nie umieją.

NAUCZYCIELKA.

Widzisz, a Marynia tak dobrze jak i ty się uczy, nawet lepiej, a siedzi przy pracy. Lekceważysz sobie egzamin, a będzie on bardzo ważny. Właśnie przysłałam wam oznajmić wiadomość, która was mocno obchodzić będzie. (*Panienci otaczają nauczycielkę, słuchając uważnie.*) Pewna bogata pani zrobiła w tych dniach taki zapis: Panienska, która skończy mój zakład chlubnie, z odznaczeniem, dostanie, nietylko stypendyum na dalsze kształcenie się, ale jeszcze pieniężną zapomogę dla siebie i rodziny, jeśliby była w potrzebie.

KAZIA.

Jakaż to zacna osoba!

HELENKA (*z zarozumiałością.*)

Nie będzie mi potrzebną jęj zapomoga.

NAUCZYCIELKA.

Czyż tak pewna swego odznaczenia?

HELENKA

Naturalnie, przecie doskonale się uczę.

NAUCZYCIELKA.

Cieszę się tą nadzieją, co niepięknie świadczy o tobie, a przytém nie jest pewne.... A ja was wszystkie, moje kochane, zachęcam, byście gorliwie przygotowały się do jutrzejszego egzaminu, nietylko dla tego stypendyum, które jest wielkiej wagi, ale i dla tego, że skończyć chlubnie nauki to prawdziwy zaszczyt, to pociecha dla rodziców, własne zadowolenie, a z czasem korzyść dla społeczeństwa, któremu przybędzie jedna więcej ohy-

śnie, gdy ci się weselić należy. Twoja nagroda tak pewna, jakbyś ją już miała.

MARYNIA.

Wcale się nie cieszę nadzieją nagrody, bo z kądże pewność, że ją otrzymam? Przecież nie ja jedna dobrze się uczę, **Helenka** ma pierwszeństwo przedemną (*zabiera się do pisania*).

KAZIA.

No, to się pokaże przy egzaminie, więc nie smuć



Sandomierska mieszcza (str. 69).

watelka. (*Panny słuchają uważnie, Marynia stoi z zalamanymi rękoma, słysząc dzwonek*). Dzwonią na przechadzkę, słyszycie. Chodźcie więc. *Wychodzi, Helenka, Zosia i Józia za nią, szepcząc między sobą, Marynia pozostaje w tej samej pozycji, Kazia zbliża się do niej*).

SCENA III.

MARYNIA, KAZIA.

KAZIA.

Maryniu, co tobie, jesteś smutna, teraz wła-

się, bądź wesoła (*Marynia zabiera się do pisania ćwiczenia*), i połącz to ćwiczenie, ja je sobie sama dokończę; lepiej pośpiesz do domu, opowiedz swojej matce o tej miłej wiadomości, wiem, że jest uboga, niezmiernie się ucieszy twym przyszłym szczęściem. Ja, jako pensyonarka, wolna od zajęć domowych, które was nie omijają, mam dość czasu, napiszę je sobie.

MARYNIA.

Pozwól, **Helenko**, zostanę, dokończę ci to przepisywanie.

KAZIA.

Co prawda, to możebyś je i poprawiła gdzieś nigdzie; ale mniejsza o to, idź już do domu, tam cię czekają.

MARYNIA.

Poprawiać nie będzie tu co, ty swoją mądrą główką źle napisać nie umiesz, chociaż nie przechwalasz się tak, jak Helenka; ale przepisać muszę ci koniecznie, a wiesz dla czego?

KAZIA.

Dla czego, uparciuchu?

MARYNIA.

Chcę, aby ci ono mnie przypominało, bo zapewne nie obaczmy się więcej.

KAZIA.

W Imię Ojca i Syna, co ty wygadujesz? *(żywo)* A może zamiast ćwiczenia zechcesz testament napisać? Ej, Maryniu, nie rozumiem cię wcale, chyba, że myślisz egzamin, tak... fiu... *(robi gest dmuchnięcia)*.

MARYNIA.

Ja nie będę na egzaminie.

KAZIA *(powtarza ze zdziwieniem)*.

Ja nie będę na egzaminie?

MARYNIA.

Owszem, ty będziesz, tylko ja nie będę...

KAZIA.

Jeszcze sobie kpi! Patrzcie państwo! Cóż cię, Maryniu, za melancholia dziś ogarnęła, czy myślisz niedoczekać dnia jutrzejszego?

MARYNIA.

Dnia jutrzejszego może i doczekam, ale na egzaminie być nie mogę, wielka proza stoi mi na przeszkodzie.

KAZIA *(żywo)*.

E, nie lubię, gdy kto z mną tak nie szczerze postępuje; ot, widzisz, ja potrzebowałam, byś mi ćwiczenie przepisała, więc poprosiłam cię otwarcie: Maryniu, przepisz; a ty, to tak mi się obwiąz w bawełnę, że cię poznać nie mogę. Mów, co ci jest, co to za przeszkoda? *(z naciskiem)*, muszę ją usunąć!

MARYNIA *(ze smutnym uśmiechem)*.

Twoje dobre serduszko, wiem, że radeby mi dopomódz, ale nie będzie w stanie.

KAZIA.

Daj teraz pokój wszystkim czułościom, tylko mów.

MARYNIA.

Kaziu, bolesne wyznanie, smutne. Jak przed przyjaciółką powiem ci — jam uboga, więc uboga, niż ty nawet sądzisz; ten bardzo już nieświeży, połatany mundurek, to cały strój mój; przecież wy

wszystkie będziecie w świeżych, porządnym sukienkach, ja w mojej przyjsćbym nie śmiała.

KAZIA *(z załamanemi rękoma)*.

Nie możesz mieć lepszej sukienki?

MARYNIA.

I nietylko sukienki, ale nawet wstążeczki, nawet bucików nowych mieć nie mogę. Moja matka biedna, bardzo biedna, Kaziuniu, *(placze)*, ale ty nie masz nawet pojęcia, co to jest być biedną...

KAZIA *(zamyślona)*.

Tyś tak bardzo biedna, a ja tego pojąć nie mogę *(p. k. m. rzucając się Maryni na szyję)*. Moja ty droga Maryniu, zaradzi się temu, zaradzi... tylko się nie smuć, bądź wesoła, dobrej myśli, i idź już sobie do domu. Poradzi się na to, poradzi — tylko ty idź już sobie, *(całuje Marynię i wypycha ją prawie, a ta wychodząc zabiera pokryjomu kajet ze sobą)*.

SCENA III.

KAZIA *(sama)*.

KAZIA *(stoi zamyślona)*.

Nie ma sukienki, nie ma bucików, wstążeczki sobie nawet kupić nie może *(wesoło)* ale za to ma tyle koleżanek, które mają to wszystko i nawet więcej niż im potrzeba, cóż więc łatwiejszego, jak podzielić się tęp z naszą dobrą, kochaną Marynią, *(biegnie wesoło przez scenę)*. Dalej więc, zbieram ogólną sesyę, musi Marynia być na egzaminie, a co więcej, musi dostać stypendyum. Ja jestem w tęp, chyba nie byłabym Kazią Trzpiotem — jak mnie nazywają. Ale ciekawam, jak też ona przyjmie moje propozycyę? *(Biegnie do drzwi, gdzie spotyka wpadającą z hałasem Helenkę, Zosię i Józję)*.

SCENA V.

KAZIA, HELENKA, ZOSIA I JÓZIA.

HELENKA *(z pełnym fartuszkim ciastek)*.

A to będziemy miały pożegnalną ucztę, najemy się gruszek, popijemy wodą, tak, po pensyonarsku, przypomnimy sobie wszystkie figle, psoty; potem uściskamy się, bo jutro po egzaminie to zaledwo będzie czas na składanie sobie powinszowań z chlubnie skończonych nauk, a potem dia! *(klania się)* cały zastępie koleżanek, guwernantek, profesorów, ławek, książek, ćwiczeń; polecimy sobie w świat, miły światek... bo już ta pensya strasznie mi się sprzykrzyła *(panienki uśmiechają się z zadowoleniem, ona rzuca im figlarnie ciastka, które smacznie zjadają)*. Umyślnie nawet nie poszłam dziś do domu, chociaż jestem przychodnią, by z wami jeszcze parę godzin dłużej zabawić. Prawda, że dobrze zrobiłam?

JÓZIA.

Bardzo dobrze.

HELENKA.

No, kiedy dobrze zrobiłam i jestem wesoła, to i wy powinniście być wesołe, a jesteście smutne.

KAZIA.

Jam smutna, bo mi żal pensyi; trzeba się było uczyć, co prawda, mozolnie, ale i pofiglować z koleżankami także było można, w domu będę sama, to mi tam będzie nudniej (*Kazia stoi zamysłona*).

JÓZIA.

A mnie jak jest, czybyście zgadły? próbujcie!

HELENKA.

Jakże ci?

ZOSIA.

Może ci żal pałek z tój nieszczęśliwój arytmetyki, która cię tak prześladowała?

JÓZIA.

Moja kochana, wstyd mi, ciężki wstyd, że kończę już nauki, a tak mało z nich skorzystałam, tak mi się w głowie mało pozostało; a winnam sama temu, sobie mam do wyrzucenia, że figle, psoty, żarty były u mnie pierwsze przed nauką. Dobre nauczycielki, zacne nasze przewodniczki, kto mi was teraz zastąpi!

HELENKA.

Cha, cha, cha, treny — Józia treny rozwodzi; najlepiej wróć się do pierwszój klasy z powtórzeniem, tylko nie bierz nas ze sobą i nie zakłócaj nam wesołości.

ZOSIA.

A Kazia co nam powie?

HELENKA.

Nos na kwintę spuszczoney nie wiele dobrego wróży, aleśmy ciekawe w każdym razie, z jakim sercem pożegnasz tę czułą pensyą, która przykrzyła mi się również, jak Zosi.

KAZIA (*n. s.*).

Muszę się zrećźnie wziąć do nich (*głośno*). Ja czuję jednakowo z Józią.

ZOSIA.

Przecież się dobrze uczyłaś?

KAZIA.

Prawda, że nieźle; pracowałam, ale i to czuję doskonale, nie dość jeszcze, by sobie zasłużyć na miano wykształconój panny; lecz ponieważ jestem zawsze dobrój myśli i ręk nigdy nie opuszczam, mam więc nadzieję, że chociaż skończę pensyą, uczyć się dalej będę i pewna jestem, że nasze kochane nauczycielki nie pożałują mi i nadal rad i wskazówek, jeśli o nie poproszę.

HELENKA.

Brawo, Kazia skończy pensyą i jeszcze się

uczyć będzie na filozofa. Po mnie się to pewno nie pokaże. Ale czy już nam wypowiedziałaś wszystkie swoje zamiary?

KAZIA.

Wszystkie. Pozostaje mi tylko, ponieważ, jak sama powiedziałaś, nie będzie na to jutro czasu po egzaminie, pożegnać was dzisiaj, życząc, byście przez całe życie nie zaznały części tój goryczy, jaką znosi teraz jedna z naszych drogich koleżanek.

WSZYSTKIE (*z ciekawością*).

A któraż to, która? Nic nie wiemy.

KAZIA.

Powiem wam, moje drogie, ale podajcie mi na to ręce, że wszystkie dzień ostatni naszego pobytu razem uświęcimy dobrym uczynkiem, który nam na całe życie błogiem zostanie wspomnieniem.

ZOSIA (*podając rękę*).

Jak najchętniej.

JÓZIA (*również*).

Z całego serca.

HELENKA (*obojętnie*).

Cóż to takiego?

KAZIA (*nie zwracając na nią uwagi, z uczuciem, żywo*).

Wiecie, Marynia jest tak biedną, że porządnej sukienki na jutrzejszy egzamin mieć nie może.

HELENKA (*z utajoną radością*).

A więc na egzaminie jutro nie będzie?

KAZIA.

I nietylko sukienki, ale nawet fartuszka, nawet bucików biedna matka nie ma za co jój kupić.

JÓZIA.

Ach, mój Boże, jakżeby ich odznaczenie Maryni na egzaminie poratowało!

HELENKA.

No, ależ jaka na to rada?

KAZIA.

Dobre, drogie moje, w imię koleżeństwa powinnyśmy się postarać o to wszystko dla niej; ja pierwsza mundurka pożyczyć jój nie mogę, bo mam tylko ten jeden nowy, co go noszę, ale uszyła mi mama dwa fartuszki, dwóch nie włożę na siebie, więc jeden jój przyniosę; ona przecież była tak dobrą dla nas.

ZOSIA (*żywo*).

Jak najlepszą. Ileż to razy uczyła mnie tój nieszczęśliwój arytmetyki, nawet i na egzamin mnie przygotowała, a więc choćby się obraziła na mnie, chociażby przemocą, ubiorę ją w moje nowe węgierki.

JÓZIA.

A mnie, ile to razy niemieckie ćwiczenie popra-

wiała! Pocziwa dusza, przyniosę jęj moję niebieską krawatkę.

KAZIA (z radością).

Doskonale, ustroiomy Helenkę i będzic na egzaminie.

ZOSIA.

I najsluszniej należną dostanie nagrodę.

JÓZIA.

A z mundurkiem co będzie?

KAZIA (zasmucona).

Ach, prawda.

ZOSIA.

No, Helenka najbogatsza, cöz jęj łatwiejszego, jak ze swojęj licznęj garderoby przysłać Maryni na parę godzin mundurek.

KAZIA.

Ot i najtrudniejsza rzecz załatwiona, Bóg nam za to z pewnością w egzaminie pobłogosławi (zwraca się do Helenki) Heluniu, przyslesz mundurek?

HELENKA (obojętnie)

Jestem bogata, mogłabym to zrobić, może i przysię (panienki rozmawiają ze sobą uradowane, Helenka na stronie). Nie głupiam!

Zastona spada.

(D n.)

LISTY Z WARSZAWY.

Kazio do Maryni.

O czemże mam pisać w karnawale, siostrzyczko kochana, jeśli nie o zabawach? Wszyscy teraz w Warszawie tańczą na zabój i ja także po trochę baluję, o ile mi na to nauka pozwala. Ale dopiéro w ostatki mam nadzieję wytańczyć się porządnie na wieczorkach, które tu urządzają zwykle w ostatki panie przełożone dla swoich uczennic. Ba! na te wieczorki nie każdy się dostanie; trzeba mieć siostry lub kuzynki na pensyi, albo wystarać się o bardzo dobre rekomendacye od którego z profesorów, dających tam lekcyę. Ja nie mam wprawdzie ani jednęj krewnęj na żadnęj pensyi, ale na rekomendacye panów profesorów to mogę, nie chwając się, liczyć na pewno. Zresztą, jako współpracownik ulubionego Pisemka, mam łaski u panienek i same mi wstęp ułatwią. Zawczasu też zanoszę prośbę do wszystkich panien, czytających list niniejszy, aby mię obdarzyły choć kilku orderami w kotylionie, bo jak słyszałem, rozpowszechniony jest wszędzie na pensjach bardzo zły zwyczaj, aby ordery rozdawać profesorom, należącym do tańców. Robi się to zapewne w nadziei, że oni potęm przez wdzięczność lepsze zdania zapisywać będą

uczennicom. Otóż uprzedzam, że to się na nic nie przyda, panowie profesorowie nie dadzą się z pewnością przekupić, więc szkoda tylko orderów. Pewniejszy sposób uczyć się dobrze i zawsze zadaną lekcyą umieć.

Na niektórych pensjach panienki na parę dni przed balikiem trudnią się same przygotowaniami i własnemi rękami przyrządzają rozmaite przysnaki dla gości. Opowiadały mi o tęp znajome panienki. Ta robota bawi je podobno niezmiernie, przypasują długie kuchenne fartuchy, tłuką same różne korzenie, obierają migdały, ważą cukier, biją pianę z białków. Szkoda, że nie zapraszają sobie młodych ludzi do pomocy; ja przynajmniej wielkąbym miał do tego ochotę.

O różnych balach publicznych, które się odbywają w Warszawie, wiem tylko ze słyszenia, bo pojmujesz przecież, iż na nich nie bywam. Słyszę tylko, jak wujaszek czyta czasem w kuryerze: jutro bal na Szpitalik Dziecinny, za trzy dni bal na ubogich studentów i t. p. Nieraz też sobie myślę, jak to ludzie mądrze umieją po wielkich miastach nawet i z zabawy skorzystać dla dobra uboższęj braci. Bo ty przecież rozumiesz, co to ma znaczyć bal na ubogich; oto każdy, wchodząc do sali, gdzie taka zabawa się odbywa, płaci jakąś niewielką kwotę za bilet wejścia. Zbiera się z tego duża suma, a ci, którzy taką zabawę urządzają, opłacają z nięj koszta oświetlenia sali i inne wydatki, a wszystko, co zostanie, idzie dla ubogich. Wujaszek wprawdzie żartuje sobie z takięj tańczującej dobroczynności i powiada, że gdyby te wszystkie postrojone panie oddały dla ubogich choć cząstkę tego, co wydają na swój kosztowny strój balowy, toby się z tego zebrała daleko znaczniejsza suma. Ciocia przyznaje, że to wielka prawda, ale tak znów tę rzecz tłómaczy: te wszystkie panie, lubięce tańczyć i ubierać się w piękne suknie, nie wyrzekłyby się tego tak łatwo, więc tańczyłyby na innych różnych balach, kupowałyby zawsze piękno i kosztowne stroje, a nie przyszłoby im może na myśl ofiarować z tego jakięjs drobnej cząstki dla ubogich. Ludzie są lekkomyślni, nie żałują grosza ubogiemu, gdy go obaczą stojącego na ulicy w ła chmanach i wyciągającego rękę, ale nie patrząc na ubóstwo, łatwo o nięm zapominają. Gdyby więc nie urządzano balów na cele dobroczynne, nie łatwo byłoby znaleźć inny jaki sposób zebrania tych tysięcy rubli, które z biletów wejścia napływają.

W Warszawie jest także zwyczaj, że za każdy bilet wejścia do teatru, oprócz zwyczajnej ceny, dopłaca się parę kopiejek dla ubogich. I wyobraź sobie, siostrzyczko, co to znaczy ziarno do ziarnka: z tych kopiejek Towarzystwo Dobroczynno-

ści bardzo wielkie sumy zbiera corocznie na utrzymanie różnych zakładów dla sierot, dla kalek i wszelkich nieszczęśliwych. Muszę ją przypomnieć paniom na którym z wieczorków na pensyi, że i my przecież moglibyśmy sobie obrać jaki cel podobny i gdy się liczniej zbierzemy na zabawę, odłożyć do jakiej skarbonki, choćby naprzykład po jednej dziesiątce, a zawszeby się parę rubli zebrało.

Skoro już mówimy o dobroczynnych uczynkach, muszę ci też opowiedzieć, siostrzyczko, o jednej bogatej pani, która bogactwa swoje przeznaczyła na cel bardzo piękny. Ciocia słusznie powiada, że większa to jest zasługa dać ubogim ludziom sposób zarobienia na życie, aniżeli obdarzyć ich jałmużną. Otóż hrabianka Zyberg-Platerówna taki cel sobie obrała i założyła tu w Warszawie przy ulicy Pięknej szkołę rzemiosł dla dziewcząt, a naprzód już postanowiła, że obok takich uczennic, których rodzice mogą opłacać za naukę, będzie dużo uboższych przyjmowanych bezpłatnie. Zaczęła i szlachetna pani nie chce mieć z tego przedsiębiorstwa żadnych zysków, a gdyby były jakie, wszystkie będą obracane na ulepszenie zakładu i utrzymanie bezpłatnych uczennic. Wielkie to jest dobrodziejstwo dla niezamożnych rodziców, którzy nie mogą dawać córkom wyższego wykształcenia, ani w domu, ani na pensjach. Tu za niewielką opłatą, bo tylko 175 rs. rocznie, paniemka mieć będzie całe utrzymanie, opiekę troskliwą i oprócz nauk niezbędnych dla każdego, wyuczy się rzemiosła, które jęj później może zapewnić utrzymanie. Uczennice przychodnie płacą trzy ruble miesięcznie. Będzie tam nauka szycia, krawiectwa, szewstwa, malowania na porcelanie, drzewie i materji, pończosznictwa machinowego, szmuklerstwa, kwiaciarstwa, introligatorstwa, rękawicznictwa, roboty koronek i wielu innych rzeczy. Zakład jest bardzo pięknie urządony, dużo tam miejsca, nietylko na naukę, ale i na zabawę i gimnastykę po lekcjach. Uczennice przyjmowane będą od lat 12-u.

Pewny jestem, że mnóstwo paniemek zechce korzystać z tego zakładu hrabianki Platerówny, gdyż wielkie to jest szczęście dla dzieci rodziców niezamożnych wyuczyć się takiego rzemiosła, którym będą mogły zarobić na własne utrzymanie i rodzicom dopomódz.

Tu w naszej kochanej Warszawie słyszy się nieraz o takich zacnych, dobroczynnych osobach, co umieją dostatków swych użyć dla pożytku bliźnich. Oto niedawno był pogrzeb pani Tekli Rapackiej. Możeś ty o niej już słyszała dawniej, siostrzyczko, bo nieraz po dziennikach pisano o hojnych darach pani Rapackiej na różne dobroczynne

instytucje. Muszę ci jednak opowiedzieć coś więcej o tej szlachetnej i miłosierniej pani. Bóg ją dotknął ciężkimi strapieniami, straciła męża i córkę jedyną, która przy niej mieszkała w Warszawie. Była to osoba bardzo bogata, ale majątek nie mógł jęj przynieść żadnej pociechy w takim osieroceniu. A jednak znalazła ona tę pociechę w dobrych uczynkach. Wszystko, co tylko posiadała, rozdała za życia jeszcze ubogim, wspierała wszystkie prawie instytucje dobroczynne warszawskie, zakłady dla starców i sierot, dla nieuleczonych paralityków, dla Głuchoniemych i ociemniałych; znaczne sumy przeznaczyła na budowę kościoła Wszystkich Świętych na Grzybowie i rozszerzenie kaplicy Ś-tęj Barbary na Koszykach, a ileż to z jęj łaski rokrocznie powstawało stypendyów dla ubogich uczniów i uczennic, ile świadczyła różnym potrzebującym, tego już wyliczyć niepodobna. Ogromny majątek, wynoszący 250,000 rubli, poszedł cały na takie dobroczynne cele. Jak tylko śp. pani Rapacka zasłyszała, że jakiś zakład pożyteczny potrzebował piędziężnej pomocy, natychmiast z tą pomocą śpieszyła. Widocznie szukała w tych dobrych uczynkach ulgi i pociechy w smutku swoim i osamotnieniu i niewątpliwie ją znalazła. Cześć jęj pamięci.

Odczytując ten list, siostrzyczko kochana, ostrzegam, że zaczyna się od wesołości, od karnawału i balów, a kończy na pogrzebie. Bo też wszędzie na tym świecie wesołość i smutek stykają się z sobą. Nie będę więc przepisywał i zmieniał tego, co się złożyło, a na zakończenie ściskam cię jaknajserdeczniej.

Twój przywiązany brat

Kazio.

Przygody młodych podróżników

NAOKOŁO ŚWIATA.

(Dalszy ciąg).

Podróżnicy nasi, przybywszy do portu, pytali przechodniów, czy niema gdzie w pobliżu jakiej gospody, gdzieby zamieszkać mogli. Na wybrzeżu widać było liczne domy, niezbyt okazałe, lecz schludne i na sposób europejski budowane. Powiedziano im, że każdy podróżny znaleźć może gościnne przyjęcie w głównym domu misjonarzy. Apostołowie wiary chrześcijańskiej mają tu kwitnącą siedzibę, uprawiają pola, ogrody owocowe i warzywne, trzymają liczne trzody. Nie wyobrażajcie sobie jednak, że czynią to dla zysków; ci prawdziwi śludzy Chrystusowi ślubowali ubóstwo i ślub ten spełniają wiernie, lecz potrzebują fun-

duszków na miłosierne uczynki. Każdy podróżny, czy to Europejczyk, czy Chińczyk, czy nawet dziki człowiek, znajduje gościnne przyjęcie w ich domu. Głodny jest nakarmiony, nagi przyodziany, smutny pocieszony; zaci ci kapłani pamiętają o ciele i o duszy bliźniego, nie bacząc na to, jakiej jest narodowości i jakiego wyznania. Nie pytają nikogo, z kąd przychodzi, ani jak się nazywa, póki potrzeb jego nie zaspokoją.

Podróżnicy nasi udali się do tego domu i misjonarze ugościli ich równie serdecznie, jak wszystkich. Robert natychmiast opowiedział im, poco przybyli na tę wyspę i zapytał, czy nie napotkali Marka?

— Marek! — zawołał jeden z Ojców — ależ my go doskonale znamy. Przybył tu na jakimś chińskim okręcie, na który dostał się przez dziwny zbieg okoliczności. Jakże on tęsknił za wami, jak niecierpliwie was wyglądał! Codziennie godzinami całemi siadywał w porcie i patrzył przez lunetę na morze, a gdy przybywał nowy okręt, zawsze mu się zdawało, że was tu przywieźć musi. Wsiadając na statek, którym dalej odpłynął, wręczył mi pakiet opieczętowany i prosił, abym go wam oddał, jeśli tu kiedy przybędziecie.

— Jako! Marek odpłynął! więc go nie obaczmy! — zawołałi podróżnicy nasi ze smutkiem.

— Czekał na was przez parę miesięcy, tracił już nadzieję, abyście przybyli i tylko na wszelki wypadek zostawił mi tę paczkę.

Misjonarz, mówiąc to, otworzył szufladkę u biurka i wyjął z niej dużą kopertę z adresem następującym:

„Do pana Jakóba, dawnego majtka Pogromu, panów Roberta Kergorieu i Henryka Vertpré, podróżników francuzkich, od przyjaciela ich Marka.”

Robert pochwyił ten pakiet, rozerwał kopertę i czytał głośno co następuje:

DZIENNIK MARKA.

1. Musiałem wypalić trochę za dużo makowcu w mieszkaniu nawodném dostojnego mandaryna, gubernatora miasta Czing-tu-fu, gdyż zupełnie mi się w głowie przewróciło. Dziwne widzenia, sense jakieś majaczenia snuły się ciągle przed moimi oczyma, nie mogłem się otrząsnąć z tego odurzenia, ani rozpoznać, co było snem, a co jawą. Spoglądałem w górę i zdawało mi się, że na niebie wyrastały drzewa i kwiaty w miejscu gwiazd. patrzyłem na wodę i wszystko mi się w oczach plątało. Słyszałem także jak przez sen, że trzeba było wsiąść na statek i powracać do miasta; więc i ja także szedłem za przyjaciółmi moimi. Statek podpłynął, ja ciągle trzymałem się obok Roberta

i Henryka, ale widziałem ich, i przed sobą, i za sobą, i z boku, nie zdając sobie sprawy z tego. Na statku spostrzegłem wprawdzie mnóstwo obcych postaci, kręcących się koło mnie, ale nie byłem w stanie myśli zebrać, w końcu położyłem się i usnąłem snem głębokim.

3. Później dopiero zrozumiałem, co się wówczas stało. Statek mandaryna podpłynął, ale ja nie wsiadłem doń razem z innymi, musiałem zostać na ganku nawodnego mieszkania. Tymczasem podpłynął inny statek, a ja niebacznym wskoczyłem tam i znalazłem się sam jeden wśród obcych ludzi, którzy skorzystali z mojego stanu, aby mię zabrać z sobą. Gdy się przebudziłem z długiego i ciężkiego snu, zacząłem się oglądać na wszystkie strony, ale zamiast znanych twarzy, widziałem tylko sztydercze spojżenia obcych ludzi, których niepokój mój bawił. Jakóbie! Robercie! Henryku! wołałem głosem rozpaczliwym; odpowiadano mi śmiechem i drwinami.

3. Nakoniec ulitował się nademną człowiek jakiś, ubrany po chińsku, tak samo, jak wszyscy, w którym jednak po fizynomii odmienną poznałem Europejczyka. Przemówił on do mnie łamaną francuszczyzną.

— Nie obawiaj się, cudzoziemcze — rzekł — nic ci się złego nie stanie; ja dobrowolnie służę na tym okręcie, a ty, jeżeli nie będziesz miał do tego ochoty, uwolnisz się za kilka miesięcy, po odbyciu jednej dalszej podróży.

Był to Duńczyk, stary majtek, którego różne okoliczności zagnały w te dalekie strony. Dowiedziałem się od niego, że z mniejszego statku, żeglującego po rzece, przeniesiono mnie śpiącego jeszcze na inny większy. Jest to okręt handlowy chiński, nazywa się *Słońce z kości słonowej*. Dowódca nie jest jednak rabusiem morskim, jak mi się zrazu zdawało, skorzystał tylko ze sposobności, aby mnie zatrzymać, gdyż właśnie brakło mu jednego marynarza. Powiedział mi, że za parę miesięcy wysadzi mię na ląd w krainie motyli i wówczas będę wolny.

Przyszło mi na myśl napisać list do moich ukochanych przyjaciół i powierzyć go falom morskim w butelce zakorkowanej. Najprawdopodobniej list ten nigdy rąk ich nie dojdzie, ale i to być może, nie zawadzi więc spróbować.

4. Przekonałem się, że kapitan Słońca z kości słonowej nie jest złym człowiekiem. Nie jestem ani źle traktowany, ani obarczany pracą; żywią mię tu bardzo dobrze, i gdyby nie tęsknota za przyjaciółmi, byłbym dość zadowolony z mojego losu. Ale niestety! każdy dzień oddala mię od nich. Już zostawiliśmy daleko za sobą wybrzeża chińskie, okrążamy wyspy japońskie, musieliśmy

też zmienić ubiór, bo klimat jest coraz zimniejszy, dążymy ciągle na północ.

5. Zbliżamy się do półwyspu Kameczatki; zimno dokucza nam dotkliwie. Niedawno mieliśmy upały, żeglując po morzu chińskiem, a tu tak prędko mrozy nastaly. Pewny jestem, że Robert i Henryk pocą się w jedwabnych sukniach, przechadzając się po ulicach jakiegoś chińskiego miasta, podczas gdy ja tu w futrze chodzić muszę. Ach! jak mi tęskno za nimi! Nieraz, gdy stojąc na pomoście, i patrząc przez lunetę, spuszczam zdaleka okręt na morzu, serce mi bić zaczyna i wyobrażam sobie, że to oni płyną.

6. Zbliżamy się do ziemi, wysiadamy na ląd i niespodzianie najwspanialszy krajobraz wzrok nasz uderza. Kraj jest górzysty, stoki wyżyn porośnięte lasem sosnowym. Przypomina to zupełnie widoki alpejskie. Ja wprawdzie Alp nie widziałem, ale przyjaciel mój Duńczyk zwiedził cały świat prawie i powiada, że to wybrzeże północne naśladuje do złudzenia górski krajobraz, który on oglądał przed laty w Szwajcaryi. Z wysokości góry spuszcza się huczący potok, pianą pokryty, a na szczycie obnażonym leżą białe płaty śniegu. Szczytyny skał wysłane są mchem zielonym, a niżej, w malowniczej kotlinie, widzimy przesliczne kwiaty, o barwach jaskrawych. W tém samotném ustroniu nie słycać nic, prócz głosów przyrody.

7. Płyniemy dalej. Chińczycy kupują rozmaite przedmioty po drodze, zatrzymujemy się w każdym porcie. Nudna to bardzo podróż, a nietylko ja się nudzę. Majtkowie opowiadają sobie wzajemnie przygody swoje dawniejsze, a nawet bajki rozmaite. Zwracają się do mnie.

— W kraju Franków — powiadają — ludzie umieją wymyślać ciekawe bardzo historie; opowiedz nam co, posłuchamy chętnie.

W prawdziwym jestem kłopotcie; gdyby tu był na mojem miejscu pan Jakób, pewnieby się długo nie namyślał i wszystkichby ubawił. Ja zaś nigdy nie słycałem z wymowy, a teraz mniej niż kiedy usposobiony jestem do bajania. Zresztą, jakkolwiek umiem trochę po chińsku, zawsze trudno mi dłużej mówić w tym języku. Co ja tu pocznę z nimi? Obawiam się jednak odmówić tym ludziom, którzy póty może są na mnie łaskawi, póki ich nie rozdrażnię.

Duńczyk przychodzi mi w pomoc. On ich zna lepiej odemnie i wie, jak niewiele potrzeba, aby ich zadowolnić.

— Masz nad czelem głowę łamać — powiada — opowiedz im bajkę o Sinobrodym, o Czerwonym kapturku i o Kopciuszku, a będą zachwyceni.

Tak też zrobiłem i w rzeczy samej słuchacze

byliby mi nie szczędzili oklasków, gdyby ten obyczaj europejski był im znany.

8. Rad jestem bardzo, że okręt nasz zwraca się znowu na południe; nie lubię zimna, futro mi dokucza, ale otóż klimat szybko się zmienia, ciepły wietrzyk powiewa, słońce przygrzewa silniej, na wybrzeżach, do których okręt nasz często się zbliża, odmienna się ukazuje roślinność. Nawet barwa morza jest inna pod zwrotnikami.

9. Nakoniec przybijamy do krainy motyli. Tu dopiero na miejscu dowiedziałem się, że wyspa ta nazywa się Pulo-Pinang, że należy do Anglików. Jestem więc na ziemi cywilizowanej, na ziemi chrześcijańskiej! Kapitan okrętu powiada mi ze znaczącym uśmiechem:

— Tu jesteś wolny, możesz robić, co ci się podobna.

Nie mogę powiedzieć, aby mnie skrzywdził, zapłacił mi nawet za służbę na okręcie. Zapomniałbym prędko o tych długich miesiącach, spędzonych pośród obcych ludzi, gdybym mógł połączyć się znowu z przyjaciółmi moimi. Ale czyż podobna przypuszczać, aby list mój dostał się do nich?

10. Na szczęście napotkałem tu najzaciejszych ludzi, misionarzy, a ci opiekują się mną po ojcowsku. Radzą mi, abym się osiedlił w tej wyspie i czekał wiadomości od was. Kraina to bardzo piękna, mógłbym też znaleźć tu na miejscu korzystne zajęcie. Tymczasem zapoznałem się z kupcem Francuzem, który mię do czego innego namawia. Ma on swój własny niewielki statek i śmiało puszcza się na dalekie wędrówki. Prowadzi handel bardzo korzystny i ofiaruje mi znaczny udział w dochodach, jeśli z nim razem popłynę.

— Nie będziesz tu przecież czekał do sądnego dnia na swoich przyjaciół — mówi. — Zresztą, ruszając po świecie, łatwiej się z nimi spotkać możesz.

Sam nie wiem co robić. Poczekam jeszcze parę tygodni, a potem ruszę w świat. Lubię ja wprawdzie życie spokojne, ale w gronie przyjaciół, a tu już tracę nadzieję, abym ich się doczekał. Nie żałowałiby jednak, gdyby tu przybyli. Ta wyspa to raj prawdziwy. Jakie kwiaty, a jakie ptaki przesliczne! Mnie jednak najwięcej bawią małpy, które tn licznymi gromadami żyją po lasach. Cóż to za pocieszne stworzenia! Nieraz całemi godzinami stoję i patrzę, jak różne figle wyprawiają, wyskakując po drzewach.

11. Spędziłem parę miesięcy w krainie motyli; gdyby przyjaciele moi mieli tu przybyć, jużbym z pewnością ich się doczekał. Jutro wyruszam w drogę.

Na tém się kończył dziennik Marka. Po przeczytaniu go, podróżnicy nasi spojrzeli na siebie ze smutkiem, a Jakób rzekł:

— Parę dni wystarczy nam aż nadto na zwiedzenie tej pięknej wyspy. Dłużej nie mamy tu co robić, puścimy się w dalszą drogę tym samym okrętem, podziękowawszy zacnym Ojcom za gościnność.

Tak też uczynili.

XI.

Dalsza podróż. — Niepokój. — Ameryka. — Wylądowanie. Choroba Jakóba i śmierć jego. — Pomysł Henryka. — Nowe rozstanie. — Krajobrazy amerykańskie. — Spotkanie. — Dzicy jeźdźcy. — Wai-ta-hu. — Przygotowanie do polowania. — Bawoły. — Bohaterstwo Roberta. — Zaprosiny.

Podróżnicy nasi opuścili wyspę Pulo-Pinang i ruszyli w dalszą drogę. Robert napotkał był w porcie kapitana okrętu i dowiedział się od niego, że ma płynąć do Ameryki środkowej, do zatoki Honduras.

— Ach, to wybornie — rzekł Robert — my właśnie chcemy zwiedzić amerykańskie wybrzeża.

Natychmiast zrobił umowę z kapitanem i okręt dnia następnego podniósł kotwicę. Długa to była żegluga. Okręt zatrzymywał się po drodze we wszystkich znaczniejszych portach, a podróżnicy nasi mijali półwysep Malakkę, wyspy Singapore, Madagaskar, Maurycego i Reunion. Okręt zatrzymał się na przylądku Dobrej Nadziei. Tu stary Jakób zaczął się uskarżać na jakieś niezwykle osłabienie. Dotąd, pomimo sędziwego wieku, zdrów był i dobrej myśli, ta nagła niemoc zatrwożyła niezmiernie obu młodzieńców. Od tej chwili otoczyli starca najczulszą troskliwością. Okręt odpłynął dalej i zbliżał się już do brzegów Ameryki, gdy Jakób w te słowa przemówił do swego wychowawcy:

— Moje drogie dziecko, nie martw się zbyt mocno, ale muszę cię przygotować do tego, że wkrótce zostaniesz sam jeden na świecie. Siły moje z dniem każdym słabną, czuję, że życie uchodzi, czas też, abym spoczął w grobie, a mogę umrzeć spokojnie, spełniłem święcie wolę ukochanego mego kapitana. Śmiało też stanę przed nim na tamym świecie. Jestem pewny, drogi Robercie, że nie zrobisz wstydu pamięci twojego zacnego opiekuna.

W smutnym usposobieniu podróżnicy nasi wysiedli na ląd amerykański. Przeczucia sędziwego marynarza się sprawdziły, w parę dni po wylądowaniu dwaj młodzieńcy odprowadzili do grobu jego zwłoki. Starzec spoczął zdala od rodzinnej ziemi, jak żołnierz na stanowisku, przy spełnieniu obowiązku.

(D. c. n.).

SZARADA (Różia D.).

Pierwszemi dwiema: każdy kogoś darzy,
Rodziców, krewnych, przyjaciół i braci —
Jest to uczucie, co serce bogaci,
W sercu się rodzi i w sercu się żarzy —
Bóg je wlał w serce z takimi rozkazy,
By je rozdzielać pomiędzy spółbraci.

Trzeci na niebie każdego miesiąca
Jawi się jasny i wzrasta stopniowo,
Pędzi wraz z ziemią naokoło słońca,
Aż wkońcu niknie, jawi się na nowo.

Czwartą odwrotnie mamy w alfabecie,
Chociaż nie w naszym, lecz czasem się przyda.

Wszystko: poeta w szesnastym stuleciu —
Napisał Treny — i Psalmi Dawida,
W swym Czarnolesie, pod lipowym cieniem.
Cześć mu dziś składa i kraj i stolica,
Pamięcią o nim, jego dzieł wznowieniem;
Blizka jest jego trzechsetna rocznica.

Łamigłówka zgłoskowa (Zosia Wr.).

a—do—nej—je—jent—kmi—lej—ło—mi—nek —
nium—o—pa—pian—ra—re—ro—ście—sza—uj
—za—zio. Z tych zgłosek ułożyć 10 wyrazów:

1. Wykrzyknik. 2. Miejsce wypoczynku na pustyni. 3. Roślina. 4. Dawna nazwa majątków. 5. Wielka siła. 6. Urzędnik sądowy. 7. Miasteczko. 8. Roślina jadowita. 9. Roślina pożyteczna. 10. Zbiornik wody. Pierwsze litery dadzą nam nazwę obrazu, ostatnie imię i nazwisko jego twórcy.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 3-go.

Zadania konikowego:

Jakże rada moja chata,
Kiedy wita gościa — brata,
Kiedy echem swojej ściany
Głos odbija ukochany,
Gdy spojony duchem ściślej,
Dziele z bratem chleb i myśl!
Brzęk puhara, gwar rozmowy,
Echo stroi w urok nowy.

Syrokomla.

Zagadki mnemonieczniejsze:

Armida.
Danaidy
Alcesta.
GLÜCK.
Ifigenia
Orfeusz.